

TYGODNIK ILLUSTROWANY.



N^o 218.

Prenumerata w Warszawie:
Rocznie rs. 8 półrocznie rs. 4, kwartalnie rs. 2,
miesięcznie kop. 67 i pół.

Warszawa, 28 listop. 1863 r.

Prenumerata na prowincyi i w Cesarstwie:
Rocznie rs. 12, półrocznie rs. 6, kwartalnie rs. 3.
Koperta oddzielna rs. 2 rocznie.

TOM VIII.

TREŚĆ NUMERU. — *Kościół Świętego Krzyża czyli bonifratrów w Wilnie (z drzeworytem).* — *Kronika tygodniowa.* — *Adam Śmigiełski, starosta gnieźnieński (z drzeworytem).* — *Walhalla wieszczów, (poety).* — *Przegląd polityki zagranicznej.* — *Kilka słów o Wieliczce (z dwoma drzeworytami).* — *Dawne ubiory i uzbrojenia (dalszy ciąg).* — *Szachy.* — *Rebus.*



KOŚCIÓŁ SWIĘTEGO KRZYŻA czyli BONIFATRÓ W WILNIE.

Kościół Świętego Krzyża—czyli bonifratrów

W WILNIE.

Wyszedszy z Dworcowej ulicy, na drugim końcu pałacowego placu, poza kilką drzewami, spostrzegamy naprzód żółte mury, ponture, zakratowane okna, czerwony, pogarbiony dach i wznoszące się nad nim dwie niziuchne wieżyczki, również żółte i również czerwonymi kopułkami okryte. Trudno z tego miejsca odgadnąć jaki jest użytek tej budowy. To pewna, że tak jest podobną do świątyni, jak popielec do tłustego wtoroku. Jednakże słyszymy sygnaturkę,..... zbliżamy się. Minąwszy topole oceniające ten budynek, staje się naprzeciw głównych drzwi, umieszczonych w niewielkim występie, pokrytym czerwonym daszkiem, ponad którym wznosi się obraz Matki Boskiej, a wyżej owe dwie wieżyczki, o którychśmy wspomnieli.

Jest to kościół bonifratrów, czyli jak ich zowią na Litwie bonifratelów. Mało kto w Wilnie wie, że ta świątynia zowie się też kościołem Świętego Krzyża. Lud, o ile się lęka by nie dostać się do bonifratelów, to jest by nie stracić rozumu, o tyle znowu głęboką czcią otacza Najświętszą Pannę Maryą bonifratelską. Obraz Boga-Rodzicy bonifratelskiej słynie na Litwie cudami; ztąd w środy i soboty kościołek ledwo może objąć pobożnych, których znaleźć też można w każdej porze dnia i roku, klęczących przed drzwiami kościelnymi, na maleńkim trawniku. Uciekają się tu mianowicie wszyscy cierpiący na ciele i duszy, nadeszły wszystko mający zbolale oczy, na które ma być dziwnie pomocną woda wewnątrz kościołka w studni się znajdująca.

Wnętrze jego odpowiada zewnętrznej postaci. Jest on ponury i ciemny, co mu pewnej powagi przyczynia. Przez niewielkie szybki zakratowanych okien widnieją gałęzie topoli. Po prawej stronie od wejścia, ukazuje się rzeczona studnia, z której pobożne niewiasty codziennie po kilkanaście flaszeczek uzdrawiającej wody wynoszą. W głębi wznosi się pięć ołtarzów, z których główny przedstawia Matkę Boską cudowną, w srebrnej szacie, obwieszoną wotami. Wewnątrz tego kościołka znajdował się przed laty kamień z napisem łacińskim: „Paweł biskup wileński, książę Olszański, kaplicę tę wybudował w r. 1543.“ Dziś niema śladu ani kamienia, ani napisu, a co niedziela obłąkani, ukryci za kratą, słuchają tu mszy św.

Przeszłość tego kościołka tém jest ciekawszą, że losy jego ściśle powiązane z pierwszym na Litwie zakonem świętego Franciszka i męczeństwem siedmiu téjże reguły kapłanów.

Książę Antoni Grzybowski, franciszkanin, który podał wiele szczegółów (pozbawionych wszakże wszelkiej krytyki) o dziejach tego zakonu w Wilnie, dowodzi w swoim dziełku „Skarb nieoszacowany oo. franciszkanów litewskich, t. j. ciała franciszkanów męczenników pod ziemią zachowane, Wilno 1740 r.“, że ci franciszkanie, którzy po raz pierwszy przed 1223 rokiem przybyli do Wilna, na wierzanie prawdopodobnie Gedymina, (Kraszewski: „Wilno.“) nim się przenieśli do Panny Maryi na Piaskach, nie mieli żadnego kościoła, ani nawet kaplicy. Dopiero Gastold, *alter ego* Olgierda, który, jak wiadomo, nie tylko sprzyjał chrześcianom, lecz sam nawet tajemnie wyznawał wiarę Chrystusa, dał im w obrębie gmachów swoich rodzaj klasztoru, który znajdował się w tém miejscu, gdzie był potem pałac biskupi, a więc tuż obok teraźniejszego kościołka Świętego Krzyża. Gdy około r. 1332, a może i znacznie później, jak chcą niektórzy, lud podburzony przez swoich *wejdelotów* i *burtynikasów*, siedmiu franciszkanów zamordował na rynku, (gdzie dziś ratusz) a siedmiu innych stracił z Trzykrzyżkiej góry w nurty Wilejki, ciała pierwszych złożył Gastold po powrocie z Tykocina w miejscu gdzie stał ówczesny ich klasztor. Że zaś w obręb tego klasztoru, a może nawet na miejscu jego (bo pałac biskupi o kilkadziesiąt tylko kroków jest oddalony od dzisiejszego kościoła Świętego Krzyża, mógł więc stać na miejscu obu tych budynków), stoi teraźniejszy klasztor i kościół bonifratrów, uczeni więc nasi domyślają się, że ten ostatni stoi na gruncie zawierającym w sobie zwłoki siedmiu męczenników.

Ogromny tu zamęt panuje; po tym labiryncie faktów przychodzi błądzić omackiem, nie mogąc odróżnić prawdy od fałszu, rzeczywistości od nieuzasadnionego na niczem zgola przypuszczenia. Żadna świątynia wileńska nie ma tak ciemnej, niepewnej, niemięcej jednak ważnej i ciekawej przeszłości.

Chodzi nam o wyświecenie dwóch interesujących pytań:

1) Na którym miejscu pochowani owi męczennicy? i
2) Czy przed kościołem fundacji biskupa Olszańskiego istniał tu inny kościółek?

Z tego cośmy wyżej powiedzieli, okazuje się niemal niewątpliwie, że ciała męczenników leżą na przestrze-

ni, którą teraźniejszy kościół zajmuje. Poprobujemy teraz wyszukać miejsca wiecznego ich spoczynku. Jedni twierdzą, że pochowano ich pod drzwiami kościoła Świętego Krzyża, lecz czy dawniej kaplicy tego imienia, czyli też kościołka który później stanął, wiadomo. Marcus Corona mówi, że pochowano ich w miejscu gdzie później był cmentarz bonifratrów, kędy też wzniesiono krzyż ze stosownym napisem. Tego jednak krzyża nawet Grzybowski w XVIII wieku nie widział. Strykowski, wspominając o tym słupek, powiada, że stał na cmentarzu, gdzie naówczas był ogród biskupi, naprzeciw kościołka Świętego Krzyża. W ogóle jest to gadanina, z której nic stanowczego wywnioskować niepodobna. Musimy jednak przechylić się na stronę Grzybowskiego, jako kronikarza zakonu, który powiada, że ciała męczenników były złożone na miejscu późniejszego oratorium kościołka Świętego Krzyża. Miejsce to za czasów pogańskich ukrywano, obawiając się by poganie nie odgrzebali ciał i nie pastwili się nad nimi. Następnie poszło to w zapomnienie. Rzecz jednak dziwna jak mogli, mianowicie franciszkanie, zapomnieć o tak ważnej rzeczy?

Trudniej jeszcze rozwiązać drugie pytanie. Wiadomo że przed założonym przez biskupa Olszańskiego kościołem, istniał inny; lecz kto go założył? tylko przypuszczeniami odpowiedzieć możemy. Jest niezawodna poszlaka w aktach franciszkańskich, iż przed zbudowaniem kościoła przez ks. Pawła, istniał jakiś kościółek, który, jak wnosi Grzybowski, był założony przez Gastolda, lub jakiegoś biskupa franciszkanina. Pozostawiając wyświecenie tych faktów przyszłemu historykowi kościołów wileńskich, przystąpmy do pewnych dzieł.

W roku 1543, w poniedziałek po przeniesieniu św. Stanisława (*Wizerunki i roztrząsania naukowe*), książę biskup wileński Paweł Algimunt Holszański, czy jak chcą niektórzy Olszański, wydał erekcyą na kaplicę święto-krzyżką w sądzie biskupim; o czém, prócz aktów kościelnych, przekonywał ów kamień, o którymśmy wspomnieli, noszący następny napis:

„Paulus D. G. Episc. Viln. Dux Olszanen. sacellum hoc e fundamentis extruxit a. 1543.“

Duchowieństwo zakonne dobrze było widziane, a otoczone czcią i poszanowaniem, opływało w dostatki. W tym czasie na dalekim Zachodzie pokazał się skromny, bogobojny Jan de Deo (Boży), zgromadził około siebie kółko zakonnej braci, i wzięwszy za cel swojego istnienia pielęgnowanie chorych i niedołącznych, przepisał pewne prawidła dla swego zakonu, podług reguły św. Augustyna. W r. 1539 papież Pius V uroczystie je potwierdził, a nowi zakonnicy zasłynęli odtąd po świecie pod nazwą *braci miłosierdzia* lub *bonifratrów*.

Podobna instytucja była bardzo pożądaną w Polsce. Jakoż w 1609 r. Walenty Wilczogórski, obywatel miasta Krakowa, sprowadził ich do Krakowa, a wkrótce potem (r. 1635) Abraham Wojna, biskup wileński, wezwał ich na Litwę i za potwierdzeniem Władysława IVgo króla polskiego (1636 r.) w Wilnie ich osadził. (*Niesiecki*.) Oddano im dawną kaplicę Świętego Krzyża, którą przerobili na klasztor, a przy nim nowy odbudowali kościółek.

Tymczasem chęć wysledzenia miejsca wiecznego spoczynku siedmiu pierwszych męczenników wileńskich znowu się obudziła. W r. 1649 kapituła zaniósł prośbę do biskupa Jerzego Tyszkiewicza, aby rozkazał szukać tych ciał. Jakoż w następnym roku naznaczono kommissyą, która jednak skutkiem ówczesnych zamieszek krajowych nic nie wysledziła.

Bonifratrzy wileńscy (tak jak w całej dawniej Polsce) poświęcili się głównie pielęgnowaniu chorych na umyśle. Od 1795 r. mieli swój nowicyat w Wilnie. (*Kraszewski*.) Zakonników zwykle utrzymywało się dziesięciu; kapłanów bonifratrzy rzadko kiedy pomiędzy sobą mieli, jako wyłącznie zajęci dozorem chorych i zbieraniem dla nich jałmużny. Zawzyczaj więc utrzymywali dla siebie kapłana, i to najczęściej z innego zgromadzenia. (*Eust. hr. Tyszkiewicz* „Wiadomości historyczne i t. d.“ w Tece wileńskiej N. 2.)

Liczba chorych (wyłącznie mężczyzn) leczonych w szpitalu i cierpiących nędzę, a zaopatrywanych przez braci miłosierdzia jałmużną, pokarmem lub bielezną, do 300 osób wynosiła. Fundusz klasztoru, prócz placów w mieście, składał się z folwarku Szuksztele, nadanego przez założyciela, i z dwóch jezior. Kapitały funduszowe, uzbierane z kwesty i darów, wynosiły przeszło zł. 150,000; srebro kościelne ważyło funtów 94. lutów 27. (*Tyszkiewicz*.)

W r. 1836 wszystkie klasztor bonifratrów na Litwie oddane zostały pod bezpośredni zarząd biskupów diecezjalnych. (*Encyklopedia powsz. t. IV*, „*Bracia miłosierdzia*“), a księży bonifratrów dozwolono używać do posług i pomocy w opatrywaniu chorych we wszystkich dobroczynnych zakładach. (*Tyszkiewicz*.) W r. 1843 oddano ich klasztor pod władzę rady o-

piekującej, jako należącej do zakładów powszechnej opieki. (*Kurkor*, w „*Przewodniku*.“)

Ostatniemi czasy hr. Eustachy Tyszkiewicz, jako kurator szpitala, wiele mu przydał wewnętrznych ulepszeń. Szpital pomieścić może tylko 25ciu chorych mężczyzn. Roczne jego utrzymanie wynosi zł. 25,500. W 1861 r. było 45 chorych, z tych 11 wyzdrowiało, 7 umarło.

Mściław K.

Kronika tygodniowa.

Mamy donieść czytelnikom o ważnym pomysle, który, co rzadką u nas jest rzeczą, bezzwłocznie w czyn wprowadzony zostanie.

Oto w kilku słowach przedstawienie stanu rzeczy, tak jak nam je sam autor zakomunikował: „We wszystkich prawie znaczniejszych miastach, a szczególnie w tych gdzie znajdują się wydziały lekarskie, a zatem pewna ilość lekarzy specjalnie ukształconych, pozakładano tak nazwane *dispensatoria*, t. j. miejsca gdzie chory, za bardzo małą opłatę, w pewnych oznaczonych godzinach znajduje pomoc specjalną. *Dispensatoria* takie urządzone są albo przez pojedynczych lekarzy i stowarzyszenia lekarskie, albo przez osoby troskliwe o dobro biedniejszych współbraci, lub nakoniec przez rząd.

„Do dziś dnia *dispensatoria* zastępowane były przyjmowaniem chorych w domu przez wielu lekarzy. Lecz takie przyjmowanie jest bardzo niedogodnym i dla chorych, i dla lekarzy.

„Dla chorych największa niedogodność jest ta, że rzadko bardzo cierpiący wie do kogo z lekarzy ma się udać ze swoją chorobą i najczęściej trafia nie tam gdzieby się udać powinien. Wtedy lekarz sumienny zwykle odsyła go do specjalisty, do którego nim chory trafi, straci parę dni czasu, ze szkodą swego zdrowia. Lekarz mniej sumienny, lub obawiający się przyznać że nie jest specjalnie obezpany z rozlicznego rodzaju chorobami, lub nakoniec niemający żadnej specjalności, a chwytający się wszystkiego, zapisuje mu środki wyczerpujące fundusze chorego, a nie usuwające choroby.

„Lekarz przyjmujący w domu, pomimo woli dotąd musiał mieć do czynienia z chorobami nie będącymi w zakresie jego specjalności, które mu zatem tak w rozpoznawaniu jak i w zastosowaniu właściwych środków więcej przedstawiały trudności, przy mniejszym pożytku dla chorego. Przyjmowanie chorych u siebie w domu, połączone bywa z wieloma niedogodnościami, a mianowicie: lokal powinien być obszerniejszym, więcej odosobnionym i wymaga oddzielnej, a przynajmniej liczniejszej obsługi. Wszystkiemu temu wielu lekarzy, a szczególnie specjalnie wykształconych lecz niezamożnych, nie mogło uczynić zadosyć, i dlatego zmuszeni byli zaprzestać przyjmowania w domu, z ujmą cierpiących. Są nakoniec cierpienia specjalne, jak np. ucha, oka, krtani i t. d., wymagające osobnych przyrządów, do których zastosowania i ustawienia potrzeba pewnego zachodu, dla jednego chorego często kosztownego i dużo czasu zabierającego. Dlatego lekarz w pojedynczym wypadku zmuszonym był nieraz ograniczać się więcej powierzchownym, a zatem mniej pewnym badaniem. Kilku lub kilkunastu chorych, zgromadzonych razem w *dispensatorium*, gdzie lekarz znajdzie wszystko pod ręką, już będą stanowić grono, dla którego warto przygotowania poczynić.

„Nakoniec iluż to bywa specjalistów, a przynajmniej dających do specjalnego wykształcenia, którzy nie mają pola do wprowadzenia w użycie plonów nabytych długą i mozolną pracą. Tacy znajdują w *dispensatoryach* zawsze dostateczny materiał do specjalnego wykształcenia.

„Każdy lekarz pojmując jakie korzyści przynieść może urządzenie takiego zakładu; tém bardziej w czasach teraźniejszych, kiedy jest u nas znaczna liczba ludzi materialnie podupadłych, którzy bezpłatnej pomocy lekarskiej w ambulansach szpitalnych i klinicznych nie szukają, ze względu na swą pozycyą i na pewną właściwą ludzom podupadłym, drażliwość; gdy w *dispensatorium* zapewnia się im pomoc skuteczną bo specjalną i to za zapłatę, lecz tak małą, iż najskromniejsze fundusze wydatek ten bez uszczerbku ponieść mogą...“

Następuje dalej wyrachowanie kosztów do założenia tej użytecznej instytucji koniecznych. Stanowi ono zarazem dowód możliwości przedsięwzięcia, które nie tylko samo przez się utrzymać się zdoła, ale nawet prawdopodobnie, przy obszerniejszym rozwinięciu, przyniesie dochód, mogący być użytym według woli założycieli. Każdy chory szukający porady w dis-

pensatorium powinien opłacać jeden złoty polski. Kwota to mało znacząca i dla każdego prawie dostępna, a jednak gdyby tylko 100 chorych szukało tam porady na tydzień, nietylko opłaciłby się już przez to lokal i usługa ale starczyłoby na konieczne dodatki jako to, opatrunki, utensylia, narzędzia i lekarstwa dla biedniejszych chorych.

Lokal już najęty i pierwszy fundusz zakładowy gotów, a więc zdaje się że rzecz wkrótce przyjdzie do skutku, zwłaszcza że zaproszeni do współdziałania lekarze, w liczbie, jak nas zapewniano, trzydziestu dwóch, chętnie wszyscy przyjęli to zaproszenie i przyrzekli bezpłatnie udzielać porady. A starano się żeby wedle pierwotnej myśli każda specjalność lekarska znalazła tam godnych przedstawicieli.

Wprowadzenie w czyn tej myśli, którą podjął, wypracował i do skutku usiłuje doprowadzić doktor Hipolit Korzeniowski, przynosząc widoczną korzyść ogółowi, nikomu nie czyni uszczerbku. Chorzy bowiem którzy uczęszczać będą do dispensatorium nie stanowili żadnego dochodu dla lekarzy. Doktor wstydził się przyjmować drobnej kwotki, którą każdy z tych pacjentów może być w stanie opłacić, a leczenie darmo stawiało niejednego z cierpiących w fałszywym położeniu i zabierało doktorom czas, musieli bowiem codziennie pewne godziny na przyjęcie ubogich chorych oznaczać. Dwie zaś godziny na tydzień, bo tyle tylko na każdego z panów lekarzy udzielających porady w *dispensatorium* wypadnie, nie będą dla nich zbyt uciążliwe. A przytém oprócz lekarstw udzielających się darmo uboższym, panowie właściciele aptek, chętnie przychodzący w pomoc użytecznej instytucji, przyrzekli odstąpić dwadzieścia procent od ceny lekarstw branych za receptami z *dispensatorium* pochodzącymi. Znaczna ta różnica w cenie, wynagradza ową złotówkową za wejście opłatę, która i tak dla nikogo zbyt uciążliwą być nie może. Wróżymy więc powodzenie przyszłemu zakładowi, który wkrótce wielkich dojsz może rozmiarów i nietylko zwrócić fundusz zakładowy, ale spory nawet względnie przynieść dochód. Nie ujmując w niczem szlachetnej gotowości do ofiary panów lekarzy, bezinteresowna pomoc udzielona przez nich ubogim chorym opłaci się im z górą, przez obznajmienie publiczności z naukowymi specjalnościami w jakich każdy z nich celuje. Dobry ten uczynek pociąga zaraz za sobą i dotykającą nagrodę. A to podobno w czynnościach ludzkich najlepszą jest rekojmia powodzenia.

Jeden z nauczycieli Instytutu muzycznego uległ od pewnego czasu ciężkiej chorobie, i ta nie dozwalała mu (miejmy nadzieję że czasowo tylko) oddawać się pracy w zawodzie nauczycielskim, który z sumiennością od lat młodych uprawia. Ponieważ nauki w Instytucie nie mogły cierpieć na tej koniecznej przerwie w pracach zasłużonego artysty, zarząd ofiarował zastępstwo innemu profesorowi tegoż Instytutu; lecz ten żadną miarą nie chciał przyjąć całej płacy, jaka mu się należała. Podjął się on ofiarowanego mu zastępstwa pod tym jedynie warunkiem, że połowę tej płacy pobierać będzie dawny nauczyciel, pozbawiony dzisiaj przez chorobę całego prawie swojego dochodu, on zaś sam, po dopełnieniu tej koleżeńskości, uważa drugą połowę jako wystarczającą za pracę około nauczycielstwa łóżną. Postępek tego rodzaju zasługuje pod każdym względem na rozgłos, wiadomo bowiem jak niskie materialne korzyści przynosi zmusna praca każdego niemal z artystów naszych, trudniących się zawodem nauczycielskim; taka więc bezinteresowna ofiara ze strony jednego z nich podwójną nabiera wartości. W razach takich zwykle się kończy na uzaleniach i obietnicach, kiedy zaś przyjdzie do czynu, każdy niemal cofa się przed poświęceniem kieszeniowem, a przynajmniej ludzie nawet skory do zbiorowego świadczenia, niechętnie biorą się do dzieła kiedy im samym wyłącznie ciężar ponosić przyjdzie.

Żyjemy w czasach tak silnych wrażeń, że śmierć tak zasłużonego jak Michał Grabowski autora zaledwie pobieżną w pismach publicznych wywołała wzmiankę. A jednak jako autor zajmuje on jedno z pierwszych miejsc w literaturze naszej, zasłudze zaś jego jako estetyka, kto wie czy kto z żyjących dorównać potrafi. Michał Grabowski nie należał do tych pisarzy, których trawi gorączka tworzenia, którzy uznawszy już raz zasadę, że publiczności czytającej ciągle i bezustannie przypominać się należy, muszą, per fas et nefas, kilka jeżeli nie kilkanaście tomów puścić na rok w obieg. Zmarły Edward Tarsza, bo pod takim pseudonimem wyszło kilka utworów jego, wysokiej war-

tości, lubił dawać wypoczynek myśli i dojrzałe oznaczać sobie z góry kierunek i doniosłość pracy podjętej; dlatego pomiędzy dziełami jego istnieją kilkoletnie nieraz przerwy. Wstrzemięźliwość ta, którą winien był może wysokiemu swojemu wykształceniu krytycznemu, sprawiła, że w dziełach Grabowskiego mniej dopatry mierności i niedokładności, aniżeli w utworach autorów współczesnych mu i na te same stopie uznania publicznego. Ale też za to każdy nowy utwór Grabowskiego sprawiał niepomierne wrażenie na tych, którym sprawa piśmiennictwa leżała na sercu; miał on gorących wielbicieli, jak niemniej zapalonych przeciwników, nikt jednak nie zarzucił mu żeby to co pisał nie szło u niego z sumiennie wyrozumowanego przekonania.

To pewna, że wyroki literackie Grabowskiego, które trzydzieści kilka lat temu obudziły, tutaj zwłaszcza, powszechne zdumienie i gorące wywołały protestacje, nabięrały wziętości z czasem i ze zwrotem ogólnego piśmienniczego usposobienia, stały się niejako punktem wyjścia dla nowej szkoły tutejszych krytyków. Jednocześnie prawie kiedy znakomici poeci nasi burzyli zastarzały gmach niewolniczego naśladowania i nadawali samodzielną istotność utworom naszym narodowym, Grabowski zarzucał silne podwaliny dla tej nowej szkoły, i to co oni przecuili i urzeczywistnili twórczym swoim geniuszem, on wyrozumował, położył jako niezachwiany pewnik i zasadę od której odstępować niewolno. Tej zasady bronił on niezmiennie przez cały ciąg długiej swojej krytycznej kariery, a bronił jej przeciwko zapaśnikom wrzekomo nawet z owego obozu, którzy owo znane discipulus supra magistrum bardzo niewłaściwie do siebie pragnęli zastosować. Biorąc od mistrzów wszelką swobodę słowa, wyzwolenie z pod zastarzałych formułek chcieli oni posuwać aż do nieuznawania konieczności kształcenia się dla piszącego. Uczcie się, wołał wówczas Grabowski, bo bez nauki nic. Natęchnienie jest dobrą i zbawienną, żeby jednak należyte owoce przyniosło, trzeba koniecznie żeby mu przyszła w pomoc wysoka wiedza, którą nieraz ciężką pracą zdobywać trzeba. I wskazywał zarazem kierunek tej pracy, jej doniosłość i użytek. Ale był on, jak się zdaje, przeznaczony na odgrywanie roli Kassandry literackiej, bo ci którzy nie wierzyli mu i walczyli z nim zajadło na każdą piędź krytycznego poglądu, sami potem wprowadzali w praktykę jego rady i zasady, przekonywając się z własną korzyścią jak były skuteczne i dobrze obmyślane. A działo się to pomimo woli, instynktownie prawie, że dawni przeciwnicy przemieniali się z wolna w towarzyszyw jedno-goż znaku literackiego. Te zwroty w piśmiennictwie godne są uwagi i niepomierną stanowią zasługę Grabowskiego jako krytyka. A bierzemy tę zasługę w ścisłe tylko piśmienniczym znaczeniu, ocenienie bowiem ogólnego stanowiska zmarłego nie do nas należy.

Powiedzieliśmy, że jako powieściopisarz Grabowski również należy do pierwszorzędných u nas. Nietyle fantazją, ile obrobieniem, nietyle pomysłem, ile formą prace jego się zalecają. W wykonaniu był on artystą w całym znaczeniu tego wyrazu. Znał wybornie strony w których większą część życia swego spędził, zbadał dokładnie ich przeszłość, stosunki teraźniejsze, umiał lepiej może niż ktobądź inny oznaczyć sprzeczne kierunki któremi różne tam podążały i podążają żywioły. Dlatego w dokładnym odwzorowaniu przeszłości i teraźniejszego stanu tamecznych okolic nikt mu może nie dorówna. Na tej drodze znalazł on wielu naśladowników, ale bardzo mało współzawodników, mogących z nim o lepsze walczyć.

Już to postaci prawdziwego krwią i duchem Ukrainca nikt od niego lepiej odszkicować nie potrafił. Kochał się on bowiem w poetycznych wspomnieniach tej ziemi i przeczuwał skarby żywotności jakie leżą w ludzkiej tamecznym. Więc też gdy znaleźli się tacy, co z nieświadomości albo z umysłu fałszywie przedstawiali przeszłość, Grabowski gwałtownie powstawał przeciwko nim, a silny ogromną wiedzą, zbrojny wielostronnym wykształceniem, prostował mylne pojęcia i zwyciężko umiał odpiierać zarzuty. Pod tym względem niedość jeszcze był on oceniony i poznany u nas i często czyniono mu zarzut z tego, co właśnie było jego zasługą.

Ale jako znawca i wielbiciel przeszłości, Grabowski nie mógł się ochronić od pewnej stronności w poglądach i stronność ta przebiegała tak w pracach krytycznych, jak i literackich. Pociągnięty wspólnością wyobrażeń kilku równie jak on silnych wiedzą, ukształceniem i talentem społecznych, do polemiki wyobrażeń literackich, począł mieszać i wyobrażenia

społeczne, a zapał walki często na fałszywą pociągał go drogę. Można się z nim nie zgadzać, potępiać go jednak bezwarunkowo nie należy; był to bowiem człowiek sumiennych przekonań i miał odwagę wypowiadać je jawnie.

Autor wszakże Koliszczyzny Stepów nie mógł żadną miarą widzieć jasno jednej strony obrazu, a nie przeczuwać światłości w drugiej. Podrażniony, dawał się czasem również jak i inni uwieść zapałowi polemiki, nigdy jednak nie przekraczał za pewne granice, a zarzuty jakie mu można czynić, dałyby się usprawiedliwić bez ujmy prawości jego charakteru jako literata, jako człowieka. A zresztą tylu występujących z początku przeciwko niemu, tylu popularniejszych od niego, błędziło później może dotkliwiej i szkodliwiej daleko. Jest to bowiem klęską dla ludzi zbyt na widoku będących, że każdy ich zwrot badany jest i rozbiórany surowiej jak u innych. U wielu przejdzie niepostrzeżenie to właśnie, co u nich raz i ogół na nich obrusza. Powtarzamy jednak raz jeszcze, że mówimy to wszystko w czysto literackim znaczeniu; ale literatura, będąc poniekąd biciem pulsu narodowego, miesza się zbyt często do społecznych wyobrażeń i bywa od nich nieodłączną.

W epoce która ubiegła zrobiwszy swoje i zapadającą w przeszłość, Grabowski ważne zawsze i poważne zachował stanowisko. Była to można powiedzieć epoka samouczków. Brak wielkich zbiorowisk światła zmuszał ludzi przodujących ogółowi w usiłowaniach pracy i wiedzy do pojedynczych usiłowań, napiętnowanych całą trudnością samoistnego dźwignia się. Owóż pomiędzy tymi Grabowski mógł z najzupełniejszym samopoznaniem i przekonaniem o słuszności swojego twierdzenia powiedzieć: *legio sum*. Znał on bowiem i umiał za wielu. Nietylko u nas, gdzie wykształcenie na tak ślizkich i niepewnych stoi podstawach, ale w wielkich nawet zbiorowiskach światła europejskiego, mógłby on być jedno z pierwszych miejsc zajmować. Znakomitemu temu wykształceniu przychodził w pomoc niezapręczony talent i jeżeli nie łatwość, to przynajmniej wielkie wyrobienie piarskie, smak wytrawny i poczucie artysty do wysokiego stopnia pounięte. Trzeźwość wyrażeni i przyzwoitość w samem osnuciu planu utworów imaginacji, była u niego również wielką. Każdą z jego powieści możnaby śmiało dać w rękę najniewinniejszym nawet warstwowym czytelniczek, co w czasie obłędu najpopularniejszych nawet u nas talentów niepomierną jest zaletą. A przytém niema tak drobnego utworu wyszłego z pod jego pióra, w którymby się obok zabawy i nauka nie znalazła. Znając bowiem i umiając wiele, posiadał on rzadką zdolność udzielania czytelnikom bez ich wiedzy prawie zasobów swoich umysłowych. Są bowiem jeszcze u nas na równi może z nim wykształceni, ale wykształcenie to zachowują dla siebie i nie potrafili by nim podzielić się z ogółem. Odstępując wykładem, surowością sądów i pewną zimną atmosferą, jaką pomimowoli otaczają dzieła swoje. Nie było tego wszystkiego w Grabowskim, a winien on tę swoją wyzszosć połączeniu talentu z wiedzą, które posiadał w wysokim stopniu. Hojnie obdarowany ten człowiek zmarł, kiedy zdawało się że długie lata użytecznej pracy istniały jeszcze przed nim. Nie wątpimy że w rękopisach po nim pozostałych znajdzie się niewydaných prac tyleż prawie, ile ich wyszło na widok publiczny. Zapewne kiedyś ujrzą one światło dzienne i dozwolą wówczas dopełnić sąd o zgasłym niedawno autorze.

O nowym dziele wydania Ungra przychodzi nam tu donieść. Jest to książka poważna, dla poważnych ludzi pisana, pod tytułem „O rozmyślaniu nauka praktyczna, przez ks. Roothana, oraz Manrez czyli ćwiczenia duchowne św. Ignacego, przekład ks. D***. Rozmyślanie, rzecz zawsze użyteczna, na dzisiejsze czasy szacowniejsza może niż kiedykolwiek. Czasu na to nie zbraknie, a ci nawet którym wstrętna była zwykle ta operacja umysłowa, dzisiaj powinni i muszą czuć pewien pociąg do niej. Takim więc polecamy dzieło ks. Roothana, nie jako rzecz zabawną, ale pouczającą wiele.

Ukończony także został Ilustrowany kalendarz Ungra na rok 1864, o którym wspominaliśmy w kronice tygodniowej, i z początkiem przyszłego tygodnia pójdzie w obieg. Staranny wybór przeszło 40tu drzeworytów, tak zagranicznych, jako też w drzeworytni Tygodnika wykonanych, i liczne artykuły, obok zwykłej części kalendarzowej, zalecają to pożyteczne wydawnictwo, którego cena pozostaje, jak dotąd, złp. 3 gr. 10.

ADAM ŚMIGIELSKI,

starosta gnieźnieński.

Z rodu wielkopolskiego, co używał za godło herbowe Łódź, od miasteczka Śmigła wzięwszy swe nazwisko, pochodził Adam Śmigielski. On jeden uświetnił ten dom, i był z niego ostatnim, gdyż zmarł bezpotomnie.

Przodkowie jego mało byli znani w rzplitej. Krzysztof Śmigielski podpisał elekcyą Władysława IV w województwie sandomierskiem. Kazimirz, który się pisał z Bnina, żyjący w r. 1704, zdaje się że był bratem Adama.

Ten, urodzony w drugiej połowie panowania Jana Kazimirza, w młodzieńczych był latach kiedy za króla Michała haniebny traktat buczacki zawarty został, mocą którego rzplita haracz sultanom płacić miała i odstąpiła im Ukrainę i Kamieniec podolski.

Śmigielski, rażony tą wieścią, dobrawszy dzielnego konia, zbroję i zwinnego pacholka, przysiągł sobie nie wprzód złożyć szablę, dopóki Kamieniec wróconym nie będzie.

Zaciągnął się pod chorągiew hetmana Sobieskiego i towarzyszył mu we wszystkich wyprawach. Kiedy po sławnym zwycięstwie pod Chocimem, 1673 roku, hetman buławę zamienił na koronę, Śmigielski, nieodstępny towarzysz jego, miał udział w świetnej wyprawie pod Wiedeń i oswojodzeniu stolicy austriackiej w dziesięć lat później.

Po śmierci króla Jana Sobieskiego, popierał usilnie elekcyą Augusta II, ufny w jego dzielność i znaną odwagę, tém więcej gdy król w *paktach konwentach* przyjął warunek wyraźny powrócenia rzplitej Kamieńca podolskiego.

Kiedy August zasiadł tron i rozpoczął kroki, w celu ziszczenia swych przyrzeczeń co do *złotego klucza Podola*, Śmigielski nie odstąpił swęj chorągwi, dopóki w r. 1699 pokój karłowicki zawartym nie został, przez który rzplita zrzuciła haniebny haracz, a Kamieniec wraz z częścią Ukrainy Polsce powrócony został.

Miał tę pociechę i rozkosz serca, że pierwszy wjechał na czele swęj chorągwi z dobytą szablą w mury Kamieńca.

Po tylu trudach wojennych, wrócił do ojczystej zagrody na spoczynek, i radośnie, zawiesiwszy zbroję na kolku, wziął się do pluga. Ale niedługo mógł używać upragnionego wyczasu. August II, po zawartym tajemnie traktacie z Piotrem Wielkim, rozpoczął wyprawę inflancką, licząc na młode lata króla szwedzkiego i łatwość zdobyć.

Zawiódł się smutnie w swoich nadziejach, bo młody król szwedzki, był to bohater Karol XII.

Na wieść o zamachu Augusta II, wylądowywa na wybrzeża Bałtyku, gromi zwycięzko po drodze swęj armie obu sprzymierzeńców, a pobudzony gniewem na swego przeciwnika, zrzuca z tronu Augusta i ogłasza królem Stanisława Leszczyńskiego.

Śmigielski, wtedy już cześniak koronny i starosta gnieźnieński, (konstytucyaz r. 1703), gorliwy stronnik Augusta, rażony wieścią o rozbiću wojsk saskich,

o zwyciężkim pochodzie Karola XII i niszczeniu rzeczypospolitej, kiedy Szwedzi wtargnęli do Wielkopolski, znacząc ślady swoje ogniem i mieczem, zawrzał gniewem i zemstą. Ale w pobliżu nie było ani żadnego wodza, ani wojska. Nie tracąc odwagi, niezłomny w postanowieniu, wśród Szwedów zajmujących wioski okoliczne i jego własne, zostawia dwór swój na łup pewny najeźdźnikom, tajemnie uzbraja dwudziestu czterech jeźdźców i na czele ich uderza w nocy niespodzianie na Szwedów. Rozmarzonych snem, jednych w pień wycina, drugich topi, i straszny w całej okolicy rzuca na nich popłoch. Szlachta, na odgłos imienia Śmigielskiego, którego znała jako doświadczono-

Wkrótce stanął na czele dwudziestu chorągwi i stał się postrachem zwyciężkich dotąd Szwedów. Król August, oceniając przeważne jego zasługi, wydał rozkaz do wojsk saskich, aby na każde żądanie Śmigielskiego dostarczano mu chorągwie konne; że zaś Sasi ciężkie mieli konie, musieli trzymać w pogotowiu lekkie bieguny, zdolne do szybkich podjazdów, które zwali *koniami Śmigielskiego*.

Nie ufając wysłanym szpiegom, sam nieraz narażał się zuchwale, dla zebrania potrzebnych wiadomości. Farbował sobie wąsy, przebiegał się po chłopsku i tak dostawał się do obozów szwedzkich, to przywożąc jednym koniem na furze piwo, to mioty sprzedając, albo chleb w worku przyniesiony. Przepatrzywszy stanowiska, w nocy napadał je i gromił.

Zboga cił się łupami szwedzkimi: na jedném bowiem weselu szwedzkim, wpadłszy niespodzianie, wziął w srebrach i klejnotach na kilkakroć sto tysięcy. Znaczniejszych oficerów przywiódł królowi jako braniców, w pień wyciąwszy żołnierzy. Kiedy wpadł do dworu podczas uczy weselnej, panna młoda, zdjawszy z siebie klejnoty, rzekła do starosty:

— Bierz wszystko co ci się zda, niech się tym lotrom (wskazując na towarzyszy jego) nie dostanie.

Śmigielski, rozgniewany tą zniewagą, rozkazuje ją utopić; ale ustępuje prośbom swoich rotmistrzów, którzy uhamowali jego gwałtowność.

Pogromca szczęśliwy Szwedów, gwałt każdy karał surowo. Pod Kaliszem, gdy się dowiedział o srogim postępowaniu generała Szulca z partyi saskiej, który rabował szlachtę, kmieci i znęcał się nad niewiastami, porwał go, kazał okuć w kajdany i odesłał pod strażą do Piotra Wielkiego, który go do śmierci w więzieniu trzymał rozkazał.

Jakkolwiek zajęty ciągłymi wyprawami, śledził pilnie i uważnie postępowanie Augusta II. Ostygła jego przywiązanie gorące, gdy spostrzegł jak król obojętnie patrzy na zniszczenie rzeczypospolitej, a troskliwość swą zwraca na dziedziną ziemię saską. Przeczując że skłonny do pokoju ze Szwedem, rozmyślał co dalej czynić mu wypada, gdy niespodziany wypadek o losach jego postanowił.

Dnia 4 listopada 1705 r. August II, przeprowadziwszy się przez Prosnę, wydał bitwę Szwedom, wsparty pomocą księcia Mężykowa i Śmigielskiego. W tej nieszczęsnęj rozprawie z obu stron walczyli Polacy. Pobili Szwedzi i stronnicy Stanisława Leszczyńskiego; na czele ich był Józef Potocki wojewoda kijowski; małżon-

ka jego i córka Zofia, konno objeżdżając szyki wojowników, zachęcały do dzielności i rozwoziły proch w baryłkach.

Po ogólnym pogromie, wzięte zostały wraz z wojewodą do niewoli.

Śmigielski, gorący mając udział w tym boju, widział Potockie, jak po bohatersku dotrzymywały pola. Wdzięk młodej Zofii, żywe na pięćdziesięcioletnim już wojaku uczyniły wrażenie. Poczul pierwszy zapal miłości i postanowił za jakąbądź cenę dobić się ręki wojewodzianki.

Staje przed uwięzionym Potockim, obiecuje mu wol-



ADAM ŚMIGIELSKI, starosta gnieźnieński.

nego rycerza, gromadnie się zbiega i łączy pod jego chorągiew. Śmiały partyzant nie traci ani jednej chwili; wszystko zasadzając na pośpiechu, śmiałości i tajemnicy, zjawiał się niespodzianie, uderzał na Szwedów wpiérw nim mogli przyjsć do szyku, rozbijał i uchodził, zanim nieprzyjaciel mógł się dowiedzieć, zkąd i kto go bije.

Zastępy jego z dniem każdym wzrastaly: Śmigielski na zdobyte konie szwedzkie wsadzał ochotników, uzbrajał ich zdobytą bronią, a płacił zoid hojny odbitém na Szwedach złotem, które z polskich rabunków chcieli uprowadzić do Szląska.

ność i całej jego rodziny, byleby mógł zostać jego zięciem. Wojewoda przyjmuje ofiarę i przyrzeka rękę córki, ale pod warunkiem, że przejdzie na stronę króla Leszczyńskiego. Rozkochany Śmigieński, chętnie przystaje na myśl Potockiego, potajemnie wyprowadza go z obozu wraz z rodziną i skłania wszystkie swoje chorągwie, że wraz z nim ogłaszają Stanisława królem swym i panem.

Pokojem w Altranstadzie zrzekł się August II korony na rzecz króla Leszczyńskiego; ale wkrótce losy wojny zmieniły położenie rzeczy. Karol XII w bitwie pod Puławą zwyciężony, uszedł do Turcji; August podnosi głowę i wraca do swych praw. Śmigieński (podług opowiadania E. Otwinowskiego) waha się, wreszcie przemaga w nim dawne przywiązanie do elektora saskiego.

Stanisław Leszczyński stał z polskimi chorągwiami i korpusem szwedzkim, pod dowództwem generała Krassau, pod Częstochową, gdy starosta gnieźnieński, mając kwaterę we wsi Ostrowie, gdzie był i wojewoda kijowski, staje przed nim i namawia, ażeby widząc jak Szwed ginie, przeszedł na stronę króla Augusta II.

Potocki, nie dawszy stanowczej odpowiedzi, rad że

może się pozbyć narzuconego sobie zięcia, (dotychczas bowiem odwlekał z oddaniem mu ręki swjej córki), pośpiesza do wsi Prusieka do Leszczyńskiego i uwiadamia króla, jakoteż generała Krassau, o zamierzonej zdradzie Śmigieńskiego, żądając kary śmierci na zmienika.

Pochwycony starosta, okuty w kajdany, trzymany był w obozie jako jeńiec, a następnie, gdy Szwedzi zmuszeni byli opuścić granice Rzeczypospolitej, w fortecy Szczecinie osadzonym został.

Erazm Otwinowski, nazywając go Achillesem polskim, (a ten przydomek współcześni dawali Śmigiełskiemu), mówi, że nie otrzymał ręki Potockiej. Niesiecki przeciwnie podaje, że miał za małżonkę tę samą: „Zofią Potocką herbu Piława, wojewodżankę kijowską, ale z niej potomstwa nie było.“

Uwolniony z fortecy za wpływem Stanisława Leszczyńskiego, wrócił do ojczyzny i do swego starostwa.

Opowiadanie to Otwinowskiego nie zgadza się z prawdą. Śmigieński do ostatka pozostał wierny królowi Stanisławowi. Wspierał go równie dzielnie ramieniem, jak dawniej Augusta, lubo nie był już tyle szczęśliwym.

W r. 1709, chcąc Sieniawskiemu wojewodzie belzkiemu zrobić dywersję, gdy ten pragnął połączyć się z wojskiem rosyjskim pod dowództwem barona Goltza, uderzył na miasto Brzezany, dziedzictwo Sieniawskiego; ale poniósłszy z jednej strony znaczną klęskę



ZAKŁAD KĄPIFLOWY W WIELICZCE.



GLÓWNY SKŁAD SOLI W WIELICZCE.

od ciężkiej artylerii, z drugiej od przeważnych sił napadnięty i porażony, uchodzić musiał.

Kiedy po pogromie pod Puławą wielu stronników Leszczyńskiego opuściło nieszczęśliwego króla, Śmigiełski, wierny mu stale, w r. 1714 podjazdami zwyciężkami w Pomeranii podpiął jego sprawę.

Towarzyszył królowi Stanisławowi w podróży do Szwecji, z kąd był przez niego wysłany do Benderu, do króla Karola XII.

Śmigiełski, niezmiernie poniósłszy trudy, dostał się do Benderu i zastawszy tam z pozoru stan rzeczy na stronę Leszczyńskiego daleko pomyślniejszy niż sobie wyobrażał, namówił króla Stanisława przez listy, aby nie żałował trudów i czempredziej pośpieszał do Benderu, gdzie jego przytomność nieodbitnie potrzebna, i aby z Karolem XII stanął na czele licznego wojska, które od sułtana król szwedzki nieochoybnie miał otrzymać.

Jak te nadzieje Śmigiełskiego zostały spełnione, wiadomo z dziejów; wszelako skłoniły one Stanisława iż przybył do Benderu.

Kiedy August II nanowo umocnił się na tronie, a Leszczyński usunął się z granic Rzeczypospolitej, Śmigiełski zdał się w r. 1714 na łaskę króla Augusta II i otrzymawszy przebaczenie, wrócony do łask dawnych, wystawił dwórnowy, (gdyż dawny stał się pastwą płomieni, spalony przez mściwych Szwedów) osiadł z ukochaną małżonką w siedzibie ojczyściej i jako starosta gnieźnieński w sędziwym wieku życie zakończył.

W charakterze swoim łączył Śmigiełski dziwne przymioty. Srogi obok wspaniałości, waleczny obok zuchwalstwa z narażeniem życia, łączył mężstwo z uczuciem najtkliwszemu, a przywiązanie i miłość jaką powziął do Zofii Potockiej, zachował stale w pożyciu małżeńskim.

Gdy czyniono w Warszawie przygotowania do koronacji króla Stanisława Leszczyńskiego, a manifesty na rogach ulic przybite zwiastowały ludowi tę uroczystość,—Śmigiełski, wierny stronnik wówczas Augusta II, podsuwa się pod stolicę Rzeczypospolitej.

Karol XII stał obozem pod Błoniem, a całe miasto i okolica napelnione były Szwedami i przyjacielmi Leszczyńskiego. Śmigiełski dostaje się tajemnie w mury Warszawy, zdięra manifesty i szczęśliwie uchodzi.

Do znakomitszych czynów wojennych, które jako obrońca praw Augusta II dokonał, należą: rozbicie dwunastu chorągwi koronnych wojewody kijowskiego pod Kielcami, zajęcie Krakowa, oraz pogrom w Podgórzu, pod dawną stolicą, zastępów starosty spiskiego, w którym zdobył chorągiew króla Stanisława z napisem z psalmu wyjętym:

„Confregisti Domine gladios inimicorum et exaltasti caput meum.“ (Połamałeś Panie miecze nieprzyjaciół, a wyniosłeś głowę moją.)

Niesiecki wylicza jeszcze zwycięstwa jego: pod Kazimierzem nad Szwedami 1706 r., a w roku następnym pod Gniewkowem, Pleszowem i Szremem.

Był siły tak nadzwyczajnej, że gdy raz potrzebował dostać języka, sam napadł na stojącego na czatach Kozaka, porwał go prawą ręką z konia, posadził przed siebie na siodło i do swoich powrócił ze struchlałym z przerażenia jeńcem.

Wielki miało rozgłos imię Śmigiełskiego w całej Rzeczypospolitej. Opowiadano setki dykteryjek o nim, jak się przebił i wdzierał do obozu Szwedów, jak następnie napadał i w pięć wycinał, jak nieraz schwytyany, zreźnie umiał omylić czujność swoich strażników. W Wielkopolsce, a głównie w Gnieźnieńskim, zachowało się następne podanie o Śmigiełskim. (1).

Było to na Rusi: w obozie starosty gnieźnieńskiego schwymano Żyda podejrzanego o szpiegostwo. „Na gałęz z nim!“ krzyknął Śmigiełski. Struchlały biédak rzucił się do nóg jego z płaczem, błagając o darowanie życia, jako ojcu kilkorga drobnych dzieci. Pan starosta, rozgrzany starym węgrzynem, popatrzył na Żyda, a upatrując wyraz dowcipu w jego obliczu, rzekł:

— Hultajul! daruję ci życie, lecz wprzód zaśpiewaj mi wesołą piosenkę; jeśli zaś tego we cztery godziny nie dokazesz, będziesz wisiał.

Po oznaczonym czasie, wyprowadzono więźnia z komórki gdzie był osadzony; Żyd staje wśród zebranego grona obok starosty otoczonego starszyzną i deklamuje wiersz następujący:

„Aj wej mir! aj wej mir!
Pan Śmigiełski kawalir,
Pan Śmigiełski wielki pan,
Jeszcze większy jak hetman.

(1) Przyjaciół ludu, rok V. t. 2. z r. 1839.

Pan Śmigiełski wojuje,
Komorucki rabuje. (2).
Aj wej mir!

Śmigiełski, rozweselony dowcipem tak pochlebny dla siebie, wybucha serdecznym śmiechem, wypuszcza obdarowanego na wolność, a wierszyk ten, podłożony pod nutę znaną, zamieniony w piosnkę, długo wyśpiewywano w okolicach Gniezna. (3).

Załączony drzeworyt przedstawia Śmigiełskiego w chwili upadku sprawy króla Leszczyńskiego, gdy starosta gnieźnieński, zrzuciwszy narodowy strój polski, przebrany z cudzoziemską, przybył na dwór Augusta II z podziękowaniem za udzielone przebaczenie i powrócenie do godności swoich. Dziwaczny ubiór zacięra rysy oblicza męskiego jakim się odznaczał, przy zawieszistych wąsach, podgolonej czuprynie, z bujnym czubem na środku głowy, w pancerzu na żupanie, okryty delią sobolową, siedząc na dzielnym arabczyku. W takiej tylko postaci przypomina się on jako jeden z najdzielniejszych partyzantów i pogromca bitnych hufców Karola XII.

K. Wł. W.

WALHALLA WIESZCZÓW.

Sen.

To było w wieczór. Cicha noc majowa
Powiała chłodem,—ciemna, lazurowa,
Na skrzydłach niósł sen;
Iskrząco, jasno wzrokiem gwiazd patrzyła,
Srebrzysta rosą, w białej mgie tulila
Uspiony świat nasz ten.

I tylko słowik pieśń po rosach śpiewał,
I jasny księżyc blade światło zlewał
Na srebrne trawy łąk.
Siedziałam wtedy, plotąc wianek z bratków,
Więc sen mię objął pośród woni kwiatków
I wianek wypadł z rąk.

Gdy tajemniczo sen otuli oczy,
Czarowny, ciemny, skrzydła w krąg roztoczy,
Prowadząc marzeń cud,
Przed oczy ducha stawia dziwne dzieje,
Mglistemi wdzięki w ciemny mrok się śmieje
To dziecię nocnych złud.

Więc także w onczas śniłam wielkie mury,
Wieżycą białą pnące się w lazury,
Ozdobne w lauru zwój;
W światłości lubej gaje drzew spokojne,
Kolumny lekkie, piękną rzeźbą strojne,
Szumiący w kwiatach zdroj.

I zleciał anioł.—Harfę miał świetlaną,
Przezroczył szatę w tęczach ukapaną,
Srebrzyste skrzydła miał.
Więc klękałam przed nim. Serce zdjęła trwoga,
Lecz anioł rzekł mi: „Jam zesłaniec Boga.“—
I wzrokiem światło siał.

„Jam anioł piewców, przed obliczem Pana,
Śród hymnów światła, władza jest mi dana,
Ja mówię tobie, wstań!
I pójdz tam w górę widzieć wielkie dziwy,
Oglądać w blasku inny świat szczęśliwy,
Pokorę niosąc w dań.“

To mówiąc, harfą dotknął mego czoła,
I duch mój, w blasku barwnych szat anioła,
Swoją lot wysoko wznosił.
Za nami dźwiękło tysiąc strun z promieni,
Za nami błysło tysiąc strug płomieni,
Tysięczny wawrzyn wzrósł.

Więc anioł Pański wziął mą rękę drżącą
I wiódł w świątynię kryształową, lśniącą,
W gwiazdzisty zdobną chór;
Jęć wchód oplatał bujny liść powojów,
A szmer łagodny przezroczytych zdrojów
Z dalekich szemrał gór.

(2) Komorucki, nazwisko partyzanta, stronnika Augusta II, który dał się szczególnie w znaki Żydom w Wielkopolsce łapiąc ich mienie i srogo się z nimi obchodząc.

(3) O Śmigiełskim pisałem w r. 1827 w Dzienniku Warszawskim t. VII. Przyjaciół ludu t. I z r. 1837, opierając się na podaniu mylnym Otwinowskiego, przytacza jego uwięzienie i to że odmówił mu Potocki ręki swej córki. Ciekawe i prawdziwe szczegóły o starości gnieźnieńskim, mamy w ważnym dziele: „Historja życia N. Stanisława I. kr. pol. w. ks. lit. etc.“ 1744 r., z wielką rycinami.

Ujrzałam duchy, całe światło, czyste,
Spokojem święte, bielą szat srebrzyste,
Śród jasnej tęczy strug;
Z ich koła dźwiękły w cherubinów chórze
Promienne liry uwieńczone w róże,
To hymny Bożych slug!

I rzekł mi anioł: „Widzisz pieśni ziemię?
Osiało tutaj Bożych wieszczów plemię
Rzuciwszy życia cieni;
Tu żyją piewcy, którzy w czas pogody
Po drodze Pańskiej chcieli wieść narody
Zrodzone w szczęścia dzień.

Tu żyją piewcy, którzy z piersi ludów
Rozwinać chcieli nowe życie cudów,
Jak Boskiej zorzy świt;
Co czarem pieśni rozganiając chmury,
Po ziemi przeszli z myślą tam u góry,
Gdzie świeci piękna szczyt.“

Umilkł anioł.—Wieszczów hymn złączony
Niekiedy dźwiękłał ojczystymi tony,
Czarując miłe słuch;
Mówiły słodko owe dźwięki śpiewne,
Że im w oddali wtórzają serca krewne,
Że bratni śpiewa duch.

Zwróciłam oczy.—W blasku, między kwiaty,
Nasz Kochanowski, młody, jak przed laty,
Promienną lutnię niósł;
Urszulkę pieścił śnieżną, jasnowłosą,
Igrało światło z lutnią srebrnogłosą
I laur w okolo rósł.

Nad brzegiem zdroju, śród leszczyzny cienia,
Klonowicz z lirą patrzył w bieg strumienia,
Pogodną miał on skroń.
Minęła gorycz,—dziś już dzień pogodny,
I z liry złotej płynie śpiew łagodny,
Jak lubych fjołków woń.

Zdumiałym wzrokiem wiodłam znów dokoła,
Gdy duszę zbudził słodki głos anioła,
On srebrnym skrzydłem wiał,
I rzekł mi śpiewnie: „Lecny wyżej, dalej!“
A przestwór nieba błyszczał wciąż wspaniałej,
Kolorów blaskiem grał.

I wzniesiliśmy się.—Tam, w bezmiernej górze,
Gwiazdzisty wszechświat w uroczystym chórze
Gromowe hymny grzmiał,
I mnogie gwiazdy głucho grały w locie,
A hymn stworzenia łączył światów krocie,
Falami światła chwiał.

I my, minawszy mnogich słońc bezdroże,
Płynęli polem w pełne światła morze,
Śród kolorowych fal;
Te fale grały w czarodziejskie tony,
A blask ich płynął barwą przeświecony
W olśniewającą dal.

Lecz nagle—grzmoty silnie wstrząsły światem,
Jak trąb tysiące,—pełnym majestatem
Zadrzała jasna głęb;
I głos ów przebiegł wyższy świat do końca,
I dźwięk daleki odebrzmiał słońca
Gromowem echem trąb.

I dał mi anioł swoich szat kwiecistych
Promienny rąbek.—Z ramion zdjął srebrzystych
Perłowe rzędy piór,
I wiódł mię z sobą w brylantowe kraje,
Gdzie słońc tysiące barwą róży wstaje,
Rumieniąc duchów chór.

Nad niemi w górze błękit spłynął cichy,
I lilij srebrnych drżały tam kielichy,
Do górnych pnąc się bram;
Promieniał w blasku zdroj piękności żywy,
I spokój osiadł wielce miłościwy,
Snać Bóg zamieszkał tam.

Płynęły duchy w bieli, całe lśniące,
Lub w gęstych zwojach złotych szat iskrzące,
Gdzie Boży stoi tron;
A pieśń ich grzmiąca tryumfalnie z góry,
Najdalszych światów powołała chóry
Z najodleglejszych stron.

Śród wielu innych stąpa duch nam znany,
Od szat bogatych cały światłem zlany,
U czoła gwiazdy tłą;

Kolory tęczy płyną z gór na ramie,
A lzy przeczyste, srebrne, smutku znamie,
U szat jak rąbek lśnią.

Na harfie jego trzy promienne słonca,
Przed lekką stopą dźwięczy nakształt gonca
Łabędzie echo nut;
Korona wieszczą promieniami ciska,
A nad nią w górze laur zielony błyska,
U nieba srebrnych wrót.

A jego harfa dźwiękła lżą modlitwy,
To znów grzmiała niby wrzawą bitwy,
To drżała brzękiem strun;
I wolnym zdrojem pieśń płynęła sama,
Więc rozpoznałam wieszczą duch Adama
Przy świetle złotych łun.

Lecz kóż to splywa w promienistej bieli,
Niebiesko-światły, w jasnym tęczy topieli,
Obleczon śniegiem szat?
W ramionach róży operloniej łzami,
Z promienną harfą strojną gwiazd chórami,
Szkarłatny niosąc kwiat?

On wchodził cicho w modre tło błękitu,
Gdzie pośród lilij, w złotym świetle świtu,
Promieniał Ojca tron;
Po jego lutni, harfie z gwiazd i szacie
Poznałem wieszczą. Bracia! wy go znacie,
Bo rzewnie płakał on.

„Twe duchy, ziemio, płyną niby rzeki,
Tak mówił anioł, „całe wieków wieki,
„Ciągnione w hyży ruch;
„Przez krocie światów, pośród przeszkód wielu,
„Miłością zdjęte płyną wciąż do celu,
„A celem duchów—duch.

„A duchy wieszczów Bożą pieśnią wzniosłe,
„To bujne palmy, z łona puszczy wyrosłe,
„To wieże z głębi mórz,
„Pochodnie jasne, w niebie zawieszzone,
„Ludzkości błędnej w drodze zapalone,
„Śród czarnych świata burz.

„Lecz śmielszy sztandar lśni na chwaly polu,
„I wyższy pieśniarz, który śpiewał z bólu,
„A szczęście nieba znał,
„Co z piersi ludów wielki ból wyłonił,
„Co z nędzą ziemi nieba tło odsłonił
„I przeciw piekłu wstał!

„O, nad Cherubów takie duchy wyższe,
„I nad aniołów one Panu bliższe,
„Bo niosły wieków ból;
„I dziś z nich każdy majestatem czola
„Przewyższył w niebie srebrną skroń anioła,
„Jak prawy pieśni król!”

To rzekłszy, anioł ku mnie lice zwrócił,
I przezroczyłą swoją twarz zasmucił
I wzrok żalnością sémił.
„Ja mówię tobie, teraz idź w pokój,
„Bo może, duchu, z tak czystego zdroju
„Nie będziesz nigdy pił.

Umilknął, znów białą ręką skinał:
Mój duch ociemniał,—w czarną dal upłynął
I znikł stubarwny cud,
I już w półsenniej patrzył księżyc w oczy,
Migaly gwiazdy w ciemnej drząc przezroczy,
I wiał północny chłód.

Wspomniałszy wtedy wielką snu wspaniałość,
Uczulam w sercu dziwnie tęskną żalność
Za wdziękiem sennych mar;
Bo świat doczesny taki zbladły, rzewny,
Jak gdyby z niebem nie był nigdy krewny,
Ni dźwięczał w pieśni czar.
Bo świat doczesny z gruzów, łomów, kości,
To wielka próżnia, wielki proch nicości,
Otblani strasznej próg;
Więc duch człowieka wciąż ucieka wyżej,
Śmiertelnych dalej, nieśmiertelnych bliżej,
Aż z łez wyzwoli Bóg.

O Panie światów! jeśli moc Twój dłoni
Na duchach wieszczów jak na harfach dzwoni
Przez sto tysięcy lat,
Niech Twe narody wieki bólu przęsnia,
Ukolysane Twego nieba pieśnią,
Jak w łonie fali kwiat.

A jeśli przy mnie płakać zechcą smutni,
O daj mi, Panie, jedną z cichych lutni,
Jak Twoich lasów szum;
Niech czarem pieśni, słodką niebian ciszą,
Jój śpiewne struny serca ukolyszą
Na srebrnym łonie dum!.....

Adela H.....

PRZEGLĄD POLITYKI ZAGRANICZNEJ.

27 listopada.

Możliwość zebrania się monarchów europejskich, lub ich pełnomocników, na kongres w Paryżu, zwiększa się z dniem każdym. Wszystkie drugorzędowe mocarstwa: Hiszpania, Portugalia, Dania, Belgia, Państwo Kościelne, Związek szwajcarski, Szwecya, przyjęły kongres bezwarunkowo. Również bezwarunkowo oświadczył się król Wiktor Emanuel i sultan Abdul - Azis, który nadto oświadczył że sam przybędzie do Paryża. W takim rzeczy stanie, gabinet tulerijski z niecierpliwością wyczekuje na odpowiedź wielkich mocarstw: Rosyi, Anglii, Austrii i Prus, aby zakomunikować ciastu prawodawczemu ten pomyslny rezultat negocyacji przed rozpoczęciem rozpraw nad adresem. Przyzwolenie Austrii, według niektórych dzienników, nie ulega już wątpliwości. Depesze z Wiednia zapewniają, że Austria z ochotą przyjmie ideę kongresu i wcale się jej nie lęka, gdyż siłą oręża potrafi obronić swe posiadłości we Włoszech, co się zaś dotyczy innych kwestyj, to cesarz Napoleon zupełnie miał uspokoić w tym względzie księcia Metternicha. Zato postawa Anglii zupełnie jest wątpliwą. Morning Post z d. 24 listopada oświadcza, że gabinet londyński przesłał do Paryża odmowną odpowiedź w przedmiocie kongresu. France ze swej strony, czerpiąca natchnienie w ministeryum spraw zagranicznych, żaręcza, że królowa Wiktoria własnoręcznym listem i w najsympatyczniejszych dla cesarza wyrazach, zgodziła się na zasadę kongresu. Trudno zaiste pogodzić tak dwie sprzeczne wieści. Wprawdzie postanowienie większości gabinetu angielskiego mogłoby się różnić z osobistym zdaniem królowej, ale trudno przypuścić tak silne między królową a ministeryum nieporozumienie. Zresztą, Anglia w takim tylko razie stanowczo przeciw kongresowi wystąpiłaby mogła, gdyby program tych narad obrażał w czémkolwiek jej własny interes. Tymczasem program ten nie istnieje, a nawet, jak zapewniają dzienniki półurzędowe francuzkie, tylko przez mocarstwa obradujące ułożonym być może, Francya bowiem wyrzeka się ułożenia programu. Pozwolimy więc sobie zupełnie nie wierzyć Morning Postowi i wyczekiwać jeszcze stanowczej ze strony Anglii odpowiedzi. W ogólności więc powiedzieć można, że kwestya kongresu znacznie postąpiła naprzód w bieżącym tygodniu i wychodzić już zaczyna z dziedziny marzeń i przypuszczenia. Izba prawodawcza trudni się wciąż jeszcze sprawozdaniem wyborów. Senat wybrał komisyją do ułożenia adresu. Wiadomość o dymisji lorda Russell i wejściu do gabinetu lorda Clarendon dotąd nie sprawdzila się. Morning Post zaprzecza temu, twierdząc że lord Russell chciał czy nawet podał się do dymisji, ale cofnął ją na prośbę lorda Palmerstona. Z Meksyku nic godnego uwagi. Generał Bazaine objął główne dowództwo i wyruszył przeciw Juarezowi, który trzyma się w San Lui, a nawet, jak mówią, umiał zebrać do dwudziestu kilku tysięcy wojska. Jeżeli to prawda, to kwestya uspokojenia tego kraju na długie jeszcze czasy odwleczona zostanie.

Nie myliliśmy się twierdząc, że śmierć króla duńskiego przyczyni się do powikłania spraw Holsztynu i Szlezwigu. Zaraz po wstąpieniu na tron Krystyana IX i podpisaniu ogólnej konstytucji, książe Fryderyk Augustenburg wystąpił ze swemi prawami do księztw Szlezwigu i Holsztynu, domagając się poparcia od Związku niemieckiego. W rzeczy samej nietylko że kilka pomniejszych księztw niemieckich uznało księcia Fryderyka panującym w księztwach, ale nadto, kwestya ta przeszła w agitacyą ludową po rozmaitych miastach niemieckich. Nationalverein ofiarował nawet wszystkie swe zasoby na utworzenie legii ochotników, celem zbrojnego zajęcia księztw i oderwania ich od Danii. Rzecz prosta, że taki zwrot umysłów w Niemczech nie mógł pozostać bez wpływu na mieszkańców księztw i to tak dalece, że wielu wymówiło posłuszeństwo i nie chcą składać przysięgi na wierność swemu królowi; co spowodowało nawet wysłanie z Kopenhagi czterech okrętów wojen-

nych. Trwożliwsza część dziennikarstwa niemieckiego upatrzyła już w tym kroku szeroką i zaciętą wojnę; w rzeczywistości zaś do tej ostatniej bardzo jeszcze daleko, a zapewne i wcale nie przyjdzie. Protestacye księcia Fryderyka, ujęcie się za nim drobnych księztw niemieckich, agitacye Nationalvereinu, wszystko to niknie w obec protokołu londyńskiego z 1852 r., podpisanego przez wielkie mocarstwa, a protokół ten stanowczo wyłącza księcia Fryderyka, od praw do Szlezwigu i Holsztynu. Wprawdzie Prusy miałyby swój interes w popieraniu tych księztw, ale związane są rzeczonym protokołem; co się zaś dotyczy Austrii, to rządowa Wiener Ztg. dostatecznie objaśnia stanowisko gabinetu wiedeńskiego w tej sprawie. Austriya oddziela wyraźnie kwestyą następstwa od kwestyi praw przyznanych księztwom, a przyznając, zgodnie z protokołem londyńskim, Krystyana IX za prawego władzę Szlezwigu i Holsztynu, nie wyrzeka się wszakże egzekucyi i dopilnowania konstytucyi księztw rzeczonych. To urzędowe wyznaczenie wiary politycznej gabinetu wiedeńskiego w przedmiocie księztw, objęte zimną wodą i skwasi humor vereinerów. Odłączenie księztw od Danii, to rozbiór tej monarchii, a na to wielkie mocarstwa bynajmniej nie przystaną. Pozbawione więc poparcia mocarstw pretensye księcia Fryderyka upadną same przez się i cała sprawa wejdzie znów na dawną pokojową drogę. Izba panów w Berlinie przyjęła większością głosów nowe rozporządzenie prasowe, ale izba poselska odrzuciła je stanowczo. Rozkaz królewski z d. 21 listopada położył koniec istnieniu rozporządzeń prasowych z d. 4 czerwca r. b. znosząc je bezwarunkowo. W tych dniach izba zajęła się dyskusyą nad projektem do prawa o reorganizacyi wojskowej.

Ostatnie depesze: Londyn 25 listopada. Daily News potwierdza wiadomość, że Anglia odrzuciła zaproszenie na kongres i że lord Russell nie wychodzi z gabinetu.

Frankfurt 25 listopada. Telegraficzna wiadomość z Wiednia, jakoby rządy austriacki i pruski zawiadomiły notą jednobrzmiącą swoich współwiazkowych, że książe Fryderyk nie może mieć pretensyi do następstwa, jest, według najpewniejszych źródeł, fałszywą.

Londyn 25 listopada. Z Nowego Yorku donoszą pod d. 14 b. m. że generał Lee zajął stanowisko na prawym brzegu Rapidanu. Generał Meade stoi między Rapidanem i Rapahannockiem. Spodziewają się walnej bitwy.

Berlin 24 listopada. Tutejszy magistrat i reprezentanci miasta, po naradzie prywatnej, wydali odezwę, celem utworzenia funduszów pomocniczych dla księztw. Książę Radziwiłł opuścił zgromadzenie, uważając je za nielegalne.

Frankfurt 25 listopada. Europe ogłasza teksta urzędowe: 1o akt zrzeczenia się księcia Augustenburg z d. 30 grudnia 1852, 2o akt zrzeczenia się księcia Oldenburgskiego z 28 marca 1854 r. Ogłoszenie tych dokumentów, wyjętych z archiwum duńskiego, silnie wywarło wrażenie.

Kilka słów o Wieliczce.

W pierwszym roku istnienia naszego pisma, podaliśmy obszerny opis kopalni wielickich, nie będziemy ich przeto tu opisywać, ale przebiegniemy tylko w krótkości dzieje tych kopalni bogatych i dzisiejszy stan miasta.

Wieliczka rozłożyła się po prawym brzegu Wisły, na stoku wzgórz wybiegających z Karpat, o 7 ćwierci mili od Krakowa, w kierunku zachodnim. Część jej niższa, wyniesiona na 889 stóp nad powierzchnię morza bałtyckiego, mieści się w kotlinie i stanowi właściwe miasto; część wyższa, czyli raczej przedmieście, zwane *Klasną*, zamieszkałe prawie wyłącznie przez ludność izraelską, leży na wzgórzu o kilkudziesiąt łokci wyższym. Pomiędzy obydwoma częściami miasta, leży dworzec kolei żelaznej, której gałęź, oderwawszy się od głównej żelaznicy krakowsko-lwowskiej, tutaj dobiega. Dawny gościniec bity, niegdyś główna arterya handlu galicyjskiego, przebiega w podłuż środkiem miasta, ale od czasu urzędzenia szybszej komunikacyi zupełnie został opuszczonym.

Miasto składa się z kilkuset domów, po większej części murowanych, nieobszernych jednak i niewysokich, a dość bezładnie porzucanych; ulice kręte i często drewnianemi parkanami obłożone, nadają Wieliczce pozór jakiejś ogromnej wsi. Kościołów jest dwa: jeden farny w stylu austriackim urzędowym, to jest niski z oknami półokrągłymi i niewysoką na froncie wieżą; drugi reformacki, zbudowany strukturą zwykłą u nas świątyniom tego zakonu. Zdobi miasto za-

DAWNE UBIORY I UZBROJENIA.

(Dalszy ciąg).

(Zebrał i rysował Juliusz Kossak).



Nr. 96.
Wiek XVI. Młodzieniec w rozmowie z dziewczyną. Za niemi niewiasta stara.
(Rysunek wzięty ze Zwierciadła Reja.) (D. c. n.)

mek, obszerny dwupiętrowy budynek, ale odznaczający się jedynie rozległością, bynajmniej zaś architekturą. Są tu także ładne łazienki z kąpielami z wody słonej (ob. drzeworyt), lecz nie bywają licznie nawiedzane; szpecą zaś Wieliczkę ogromne budy drewniane, z ostrosłupowymi dachami; są to szopy co osłaniają kieraty sól wyciągające i wnijścia do głębi kopalni.

Ludność miasta składa się z 6000 mieszkańców; mieszczan, w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, bardzo tu mało, sami tylko prawie górnicy i handlarze izraelscy. Pierwsi stanowią ludność wyłącznie polską i jak wszyscy nasi górnicy cicha, spokojna i pracowita; żony ich i córki słyną na całą okolicę z piękności. Śmietaną i arystokracją tutejszą składają urzędnicy, po największej części Czechy lub Niemcy, i dlatego też tutaj do dobrego tonu należy używać w rozmowie języka niemieckiego.

Znanym jest uroczyste podanie, odnoszące się do otwarcia tutejszych żup przez królową Kingę; jednakże z przykrością wyznać trzeba, iż nie jest ono wcale na historycznej prawdzie oparte. Dawniejsze bowiem nadania i przywileje wyraźnie świadczą, że żupy w Polsce nierównie wcześniej istniały i że już w r. 1105 klasztor tyniecki miał sobie przez Bolesława Krzywoustego na żupach dochody zabezpieczone, a istnienie to Naruszewicz w historii swojej potwierdza. To jedynie usprawiedliwia powyższe podanie, że Kinga, znając urządzenie kopalni węgierskich, górników z ojczyzny swój do Polski sprowadziła i nakazała im tamecznym sposobem wydobywać sól kamienną, gdy poprzednio produkt ten otrzymywany był tak w Wieliczce jako i w Bochni przez wywarzanie wody słonej.

Wieliczka była pierwotnie lichą wioseczką i dopiero Kazimierz Wielki rozprzestrzenił ją i murem dokoła opasał, a zarazem policzył do sześciu miast sądowych, które w najwyższej instancji ówczesnego sądownictwa magdeburskiego ostatecznie wydawały wyroki. Król ten także wydał przepisy górnicze, żupy nanowo urządził, a maszyny potrzebne pobudować rozkazał; nadto Kazimierz rozpoczął kopanie pięciomilowego kanału z Bochni przez Wieliczkę do Krakowa, dla ułatwienia spławu soli, ale dzieła tego nie dokończył. Inni królowie szli w ślad Kazimierza Wielkiego, pragnąc pomysłowość miasta podtrzymywać i

dlatego to mieszczenie wieliccy w niektórych przywilejach z krakowskimi porównani byli. Królowie Władysław IV i Jan Kazimierz uwolnili miasto od kwatunku, a górników od wojskowego zaciągu.

Dochody z żup wielickich stanowiły część uposażenia królów polskich; częstokroć królowe przy zaślubinach, otrzymywały od mężów zapisy rocznej intryty na tych kopalniach. Rzadko urzędnicy królewscy administrowali kopalniami, ale wypuszczano je zwykle w rodzaj dzierżawy, którą trzymający wypłacać musieli wszystkie w kontrakcie zastrzeżone summy, podatki, pensje i jałmużny, oraz pewną ilość soli bądź uposażonym nią osobom, bądź też oddawali do rozporządzenia królewskiego. Nadto szlachcie służyło prawo taniiej sól nabywać. Za Jana Kazimierza wartość dzierżawna w soli i pieniądzech wynosiła około 791,000 złotych ówczesnych. Z tych także dochodów częstokroć byli płatni przybocznicy urzędnicy królewscy, oraz utrzymywane na miejscu szpitale dla górników i pensje dla ich wdów i sierot. Dzierżawców pilnie dogładano, aby, roboty porządnie prowadząc, kopalni nie niszczyli i w jaknajlepszym utrzymywali je stanie.

Za polskich czasów najwyższym zarządcą kopalni był żupnik czyli bachmistrz, po nim podżupnik, dalej żupny górny i dolny, pisarz, ważnik, geometra, szafarz zarządzający wszelkimi rekwiżytami w kopalniach potrzebnymi, kapelan, stygary, podstygary, hutmani, komornik, strażnik starszy nad górnikami, piecowi nadzorujący górników przy robocie, cieśle, leśni, koniuszowie, starsi szybowi, dozorczy kieratów, odbiorecy soli; nakoniec górnicy, dzielący się na różne gałęzie, stosownie do roboty i rozmaici robotnicy przy żupach niezbędni.

W r. 1637 oddano żupy wielickie w zastaw rządowi austriackiemu, w zamian za mało przydatne posiłki, dane Janowi Kazmierzowi podczas wojny ze Szwedem. Wielkiemu też uległy zniszczeniu w czasie powtórnego najazdu szwedzkiego, gdyż Szwedzi, Polacy i Sasi, wydzierając je sobie nawzajem, ruinovali kopalnie.

O ilości wydobywanej tu corocznie soli trudno coś pewnego powiedzieć, w interesie bowiem posiadaczy

zdaje się być dogodnym staranne gmatwanie statystyki. Za czasów polskich nie wydobywano więcej jak 600,000 centnarów rocznie; ale rząd austriacki znakomicie produkcją podniósł, tak że już w r. 1807 wydobył przeszło milion centn., a następnego roku wyrób żup wzrósł do 1,200,000 centnarów. W roku 1809 naznaczono urzędnikom i górnikom 20,000 guldenów gratyfikacji, jeżeli wydobędą półtora miliona centnarów. Zachęceniem tym, wyrobili 1,700,000 centn. wied. czyli 2,350,000 cent. polskich. Koszta wydobywania centnara wynoszą przecięciowo, licząc wydatki wszystkie na administrację i robotników, około 3 złp. Centnar zaś sprzedaje się po 6—9 guldenów, stosownie do dobroci wydobytej soli. Na użytek bydła i na nawóz sprzedaje się nierównie taniiej, ale miesza ją umyślnie z nieczystościami, aby dla ludzi przydatną nie była.

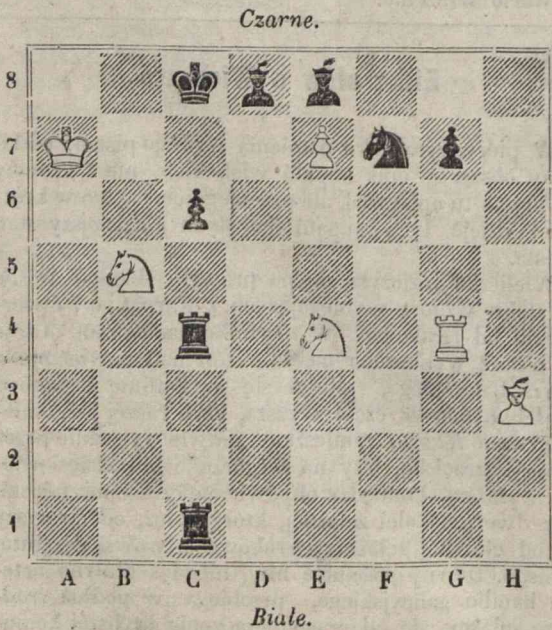
Dzisiaj Wieliczka mieści w sobie najwyższe władze górnicze na całą Galicyę; bez jej upoważnienia niewolno nikomu otwierać ani prowadzić kopalni; za jej pozwoleniem (Schutzbrief) każdemu wolno czynić poszukiwania górnicze na cudzym gruncie, a nawet choćby w ogrodzie właściciela, za prostą zapłatą zajętego na kopalnie gruntu. Właściciel ziemi od tej napaści może się uwolnić jedynie w takim razie, jeżeli odkrytą kopalnię podejmie się sam prowadzić. Prawo to z pozoru wydaje się barbarzyńskim, w samej rzeczy jednak przyczynia się niezmiernie do wyszukiwania i spożytkowania skarbów ukrytych w łonie ziemi, które inaczej na wieki leżałyby nieużytecznie zagrzebane. Od czasu ogłoszenia jego snuje się dużo poszukiwaczy po kraju, którzy śledzą pokłady kruszców lub inne produkta podziemne.

Rysunek załączony przedstawia, jak widzimy, jedną ze wspomnianych na początku szop. Jest to główny skład soli, którą zład bądź koleją żelazną wiozą w głąb Galicyi i pogranicza węgierskiego, bądź też odnogą żelaznicy sięgającą Niepołomic nad Wisłą, dowożą do brzegu tej rzeki i wdół spuszcza ją. Skład ten nie odznacza się ani zewnętrzną strukturą, ani wewnętrznym urządzeniem, odpowiedniemi tak znakomitym dochodom jakie rząd pobiera z żup wielickich; jestto sobie prosta budowla użytkowa, wcale niewpadająca w oko gościom przybyłym dla zwidzenia Wieliczki, ani nie mająca do tego najmniejszej pretensji; cała uroczą i fantastyczną, dantejską piękność tego miejsca znajduje się w wnętrznościach ziemi i tam też trzeba zstąpić, chcąc zatrzeć niezbyt powabne wspomnienie miasteczka; tam dopiero ryje się głęboko w duszy wrażenie tych dzikich powabów, które po świetle rozświeciły Wieliczkę.

SZACHY.

ZADANIE CLXXXI.

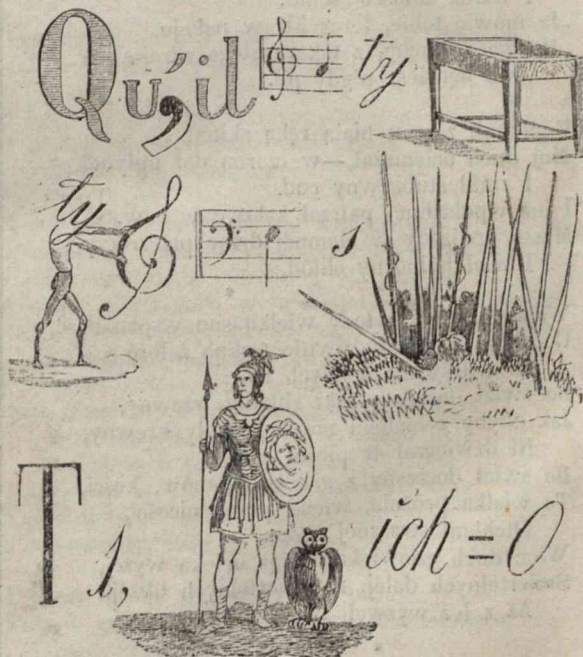
Białe zaczynają i dają mata za czwartym posunięciem.



Rozwiązanie zadania szachowego Nr. 180.

- | | |
|----------------------------|-------------------|
| Białe. | Czarne. |
| 1) E 2—G 4 † | 1) E 6—F 6. |
| 2) C 7—E 5 † | 2) F 6—E 5 biorą. |
| 3) E 8—E 7 biorą | 3) Jakkolwiek. |
| 4) G 8—G 5 biorą † i mat. | |

REBUS.



Znaczenie rebusa umieszczonego w Nrze 217.

Miłość dwa razy więziona, sto diabłów warta.